

Niech powrócą wspomnienia – 9

25 sierpnia 2019

Dzisiaj przypominamy gospodarza „Zwierzyńca” – Michała Sumińskiego.



Zawsze, gdy umawiałem się z Michałem Sumińskim na spotkanie z uprzejmością i niezwykłym wdziękiem deklarował:

– Jestem do „d”.

– A to świetnie, w takim razie możemy zabierać się do pracy – odpowiadałem. Bo jego: „Jestem do „d”, wbrew temu co pomyśli większość czytelników, nie oznaczała wcale braku sił witalnych, lecz gotowość do działania – „Jestem do „d”, czyli... „jestem do dyspozycji!”.

Maciej Zimiński nazywał Michała Sumińskiego malarzem wyobraźni:

– Był genialnym samorodkiem, który swoimi gawędami, sposobem narracji, gestykulacją wręcz czarował. Przy tym robił to tak fantastycznie, że dzieciarni wręcz zatykało dech w piersiach.

– Może pan nie uwierzy, ale jestem dziedzicznie obciążony – Sumiński uśmiecha się pod sumiastym wąsem – mój ojciec był przyrodnikiem, doktorem zoologii i geografii. Wykładał, między innymi, na Uniwersytecie Warszawskim. Można powiedzieć, że niemal się urodziłem w tej uczelni.

– Na jakiejś katedrze? – próbuję dociec.

Pod katedrą lub – jak kto woli – w cieniu katedry profesora Tura, którego był asystentem. Profesor Tur, to wielka postać polskiej nauki, wybitny zoolog od anatomii porównawczej. Mogłoby się wydawać, że będę uczonym, ale nic z tego nie wyszło. Dосkrobałem się zaledwie dwóch magistrów: z zoologii

na Uniwersytecie Warszawskim i leśnictwa na SGGW.

Matka Michała umarła, gdy miał półtora roku. Ojciec nie mógł się dziećmi odpowiednio zająć. Odwiózł więc syna i jego starszą o rok siostrą pod opiekę babci do majątku rodzowego Leśniewo w ciechanowskim.

– Po zakończeniu wojny został rozparcelowany pośród miejscowych gospodarzy. Żyłem z nimi w dobrej komitywie, a z jednym, który był moim kolegą od szczenięcych lat, bardzo się przyjaźniłem. Co jakiś czas przyjeżdżałem do Leśniewa, a on oprowadzał mnie po okolicy pokazując co nowego i zawsze jak świętości przestrzegał niepisanej zasady mówiąc: „Na twoim posiałem to i to, na twoim posadziłem to i to...”

Michałowi Sumińskiemu nigdy nawet przez myśl nie przeszło, by starać się o odzyskanie dóbr. Nigdy też nie czuł się pokrzywdzony, a tym bardziej obrabowany przez państwo. Gospodarować także nie chciał.

Jego ojciec, nazywany „Panem od przyrody”, miał w radiu stały, autorski program. Ponieważ dużo podróżował, więc opowiadał o swoich przygodach w Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Szwecji, Norwegii...

– Odczuwał osobliwy lęk mówienia do mikrofonu – wyznaje pan Michał. – Wpadł więc na pomysł, aby do studia zapraszać studentów. Siadali naprzeciwko, a on obserwując ich reakcje wiedział, którym fragmentom poświęcić więcej uwagi, a które skrócić. Czuł się wtedy jak na wykładzie i zapominał o stresie.

Gdy z rekomendacji ojca, we wrześniu 1935, radio zaproponowało Michałowi współpracę, postanowił zająć się problematyką morską. Jej znajomość była wtedy stosunkowo mała, a on miał wkrótce zostać kapitanem jachtowym żeglugi wielkiej.

Pod koniec sierpnia 1939 roku Sumiński wypłynął w rejs do szwedzkiej Karlskrony. Była portem wojennym, w którym mieściła

się również Seglar Skolen.¹ Wykładowcami byli oficerowie marynarki wojennej. Z kilkoma zaprzyjaźnił się rok wcześniej, gdy zawitali do Gdyni dwoma jachtami: „Kaparen” i „Alona”. Oprowadzał ich po mieście, ugościł, poczęstował znakomitą polską wódką.

Odwiedzili go kilka dni przed wybuchem wojny:

– Jakie masz plany?

– Zamierzam pokazać załodze Wyspy Alandzkie.

– Jeśli chcesz dotrzeć do Polski przed wybuchem wojny, to wracaj do Gdyni. Nie zwlekaj. Stawiaj żagle i płyn – usłyszał w odpowiedzi.

Wiedział, że Szwedzi, to ludzie rozsądni, mający sprawdzone informacje, więc posłuchał dobrej rady. Dotarł do Gdyni w końcu sierpnia. Sklarował jacht, rozstał się z załogą, przyjechał do Warszawy i położył spać. Rano obudził go ojciec:

– Wybuchła wojna.

3 września, już w warunkach całkowitego zaciemnienia, potykając się co chwila pośród zrzuconych na Warszawę bomb, przyszedł do radia. Miał przygotowany tekst o gdyńskiej dojrzewalni bananów. Pracował w redakcji „Dla Polaków za granicą”, czyli praktycznie rzecz biorąc, dla słuchaczy z Ameryki.

– No i konsternacja. Co zrobić? Puścić muzykę, a po chwili mnie z przygotowanym wcześniej felietonem? Głupio jakoś, bo w Ameryce ludzie oczekują wieści o Polsce w pierwszych dniach wojny, a nie o... bananach.

Wtedy dyrektor zapytał:

– Podjąłby się pan opowiedzieć, jak wyglądała Gdynia w przeddzień niemieckiej napaści?

– Spróbuję.

Mówił także o Warszawie, że idąc do radia słyszał warkot samolotów, wybuchy bomb, kroki przemykających chyłkiem ludzi. Opowiadał jak reagują na hitlerowską napaść mieszkańcy stolicy, o przygotowaniach do obrony. Od tego czasu już nigdy nie żądano aby pisał teksty do wygłaszanych przed mikrofonem opowieści.

Z czasem trafił do podziemia:

– Pewnego dnia kolega zapytał, czy chciałbym mu pomóc w konspiracyjnej robocie? „Oczywiście, bardzo chętnie” – odpowiedziałem i specjalnie nie wnikałem co to za organizacja, kto w niej jest, a on sam się z tym nie wyrywał. Przecinałem opony w niemieckich samochodach, wsypywałem piasek do baków wojskowych ciężarówek i tłukłem szyby u fotografów, którzy wystawiali w witrynach zdjęcia niemieckich oficerów.

Z czasem przydzielono go do poważniejszego zadania. Dostał pistolet i miał ochraniać kolegów.

– Pech chciał, że nadszedł niemiecki oficer. Otworzyłem do niego ogień, choć proszę mi wierzyć, nie jest łatwo strzelić do człowieka. On strzelał do mnie. Wymieniliśmy 3 lub 4 serie. Wstyd przyznać chybiałiśmy, chociaż odległość nie była wielka, jakieś 10-15 metrów.

Po kilku dniach zaszedł do kawiarenki na Żurawiej. Jego ojciec przebywał na Majdanku. Szukał możliwości wyciągnięcia go z obozu, a przynajmniej dostarczenia paczki z jedzeniem i ubraniem.

– Byłem umówiony z człowiekiem mającym odpowiednie kontakty. Gdy tylko usiadłem przy stoliku, usłyszałem: „Hände-hoch!” W pierwszej chwili nie przejąłem się tym zbyt myślar, że któryś z kolegów robi mi szampański dowcip, ale gdy się obejrzałem zobaczyłem gestapowca, a co gorsza, poznałem w nim oficera do którego kilka dni temu strzelałem. Widocznie

rozpoznał mnie na ulicy i przyszedł za mną do kawiarni. Do tego z obstawą. Nie miałem szans. Podniosłem rękę. Skuli mnie i zawieźli na Szucha.

Stamtąd trafił do Oświęcimia. Otrzymał numer: 119464. Przesiedział tam trzy lata. Gdy do obozu zbliżały się wojska radzieckie, przewieziono go do Mauthausen. Później jeszcze dalej. Do Ebensee w Tyrolu.

– To było samo dno piekieł – wyznaje. Dużo pracy i żadnego jedzenia. Doszedłem do momentu, gdy poczułem, że mam przed sobą dwa, góra trzy dni życia. Wycieńczał mnie stały rozstrój żołądka. Organizm nie przyjmował nawet wody. Wiedziałem, że to już koniec. Setki, tysiące ludzi, umierało w podobny sposób. Ale miałem wyjątkowe szczęście. Skończyła się wojna i do obozu weszli Anglicy. Było to chyba 8 maja. Po kilku dniach nadeszła pomoc od wojsk amerykańskich.

Sumiński był wówczas cieniem. Przy 182 centymetrach wzrostu ważył zaledwie 31 kg...

Wkrótce alianci zaczęli organizować wyjazdy do Polski. Ciężarówkami.

– Niektórzy przekonywali, by zostać na Zachodzie. Ale jakoś nie miałem na to ochoty. Uważałem, że moje miejsce jest w kraju. Skoro Polska jest wolna i skoro ja jestem wolny, to dlaczego mam siedzieć w Niemczech nawet w luksusowych, bo obiecywano nam luksusy, warunkach? Oczywiście dla wielu taka perspektywa była niezwykle atrakcyjna, zwłaszcza, iż zdawaliśmy sobie sprawę, że w ojczyźnie sytuacja jest bardzo ciężka...

Autorstwo: Sławomir W. Malinowski

Fragment książki „Telewizja Dziewcząt i Chłopców – historycznym baśń z innego świata”

Źródło: Trybuna.info